Lato z Moniką — mike17

Od autora: Moja spowiedź życia.

Od dobrej wódki nie boli głowa
Z dobrą kobietą nie boli życie

(Marek Hłasko)

Poznano nas przypadkowo.
Dawno temu, lecz wciąż wydaje mi się, jakby to było wczoraj.
Moja koleżanka Anita, z którą znałem się od dzieciństwa i utrzymywałem ściśle przyjacielskie stosunki, przyprowadziła cię kiedyś do mojego letniego domu, w którym przeżyłem najpiękniejsze chwile mego życia i nadal tak jest.
W drzwiach ujrzałem wtedy młodą, piękną blondynkę, o czarującym uśmiechu.
Wiesz, nikt tak się do mnie nigdy nie uśmiechał.
Ty byłaś pierwsza.
Zrobiło mi się gorąco.
Był sierpień, skwarny i burzowy – wiatr był młody, a noc zielona.
Właśnie bezszelestnie zapadał wieczór.
Nic nie wskazywało na to, że będzie on inny, niż wszystkie dotychczasowe.
To nie musiało się wcale wydarzyć – życie jest przecież tak nieprzewidywalne i nieobliczalne, zwłaszcza w czasach młodości.
Mogłem wówczas być gdzie indziej, z kimś innym.
W jakimś dalekim, hałaśliwym mieście lub zapomnianej przez Boga i ludzi wsi, którą omijają łukiem wszystkie ptaki i inne stworzenia.
Mogłem być w ogóle innym człowiekiem.
Ale nie byłem – miałem zaledwie dziewiętnaście lat i wierzyłem w życie i przyszłość.
Jak w ciebie, Moniko…
Jak w ciebie, ślepo i mocno.
Bo moja wiara w ciebie narodziła się nagle i gwałtownie.

Pięknie koncertowała nam gdzieś nieopodal szalona orkiestra nawiedzonych świerszczy wśród gęstego, odurzającego zapachu maciejki.
W oddali grała na adapterze innego młodego człowieka winylowa płyta z gorącym, zmysłowym jazzem, który był zawsze znakiem firmowym Johna Coltrane'a, co czyniło ów niby zwykły koniec dnia początkiem czegoś nowego i być może magicznego.
Był sierpień, pora zabawy i prostego, człowieczego hedonizmu, który tak wszyscy szaleńczo kochamy.

Czas letni – summertime…
Czas opalonych, pięknych ciał, gorących wieczorów, zmysłowych nocy.
Czas beztroski i szalony – wiecie, o co mi chodzi, prawda?

Chwila, gdy rozkwita nagle namiętność i żyje się każdą bezcenną sekundą w obawie, że nic nigdy już się nie powtórzy…
Byłem młody – to spotyka każdego z nas, w różnych porach naszego życia.
Byłem naprawdę przystojnym chłopakiem, który bez wątpienia musiał podobać się płci pięknej, i cieszyłem się z tego jak małe dziecko, obdarowane niezwykłym prezentem w jakiś deszczowy, smętny czwartek, kiedy świat wirował dookoła w kolorze szarym.
To nie ja tak siebie widziałem, lecz wszystkie te zauroczone mną dziewczyny, z którymi dane mi było zawierać przelotne znajomości bez żadnego, głębszego znaczenia, które zapomina się po tygodniu, a których liczba zatrważająco rosła z każdym kolejnym dniem.
Nawet ich nie szukałem – same lgnęły do mnie jak ćmy do świecy.
Niewiele z nich miało wygląd zabójczej, zmysłowej Marilyn Monroe, lecz kiedy jest się młodym, nie ma się jeszcze zbyt wielkich wymagań – wystarczają przypadkowe namiastki. Takie małe oszustwo.
Teatr manekinów.
Jakiś czas zadowalałem się właśnie tym. To mi wystarczało. Wiedziałem, że tak ma być. Każdy to wiedział, kto choć raz w życiu był młody. Inni robili to samo, więc czemu ja miałem iść inną drogą? To byłoby błędem. Czymś nienaturalnym i karygodnym.
Miałem zatem swe prawa i bawiąc się nie szedłem bynajmniej w całkowitą rozsypkę, nie nastąpił w księdze mego żywota jakiś nagły, negatywny zwrot – co to, to nie! Nie miała miejsca również żadna postępująca zatrata pozytywów mej natury – po prostu był czas na zabawę i wiedziałem, co z tym wszystkim zrobić.

Jak to mówią: „Jedno spojrzenie, jedno słowo, jeden gest…"
To wystarczyło, i mnie, i tobie.

I wtedy przyszłaś, Moniko.
I poczułem, bardzo wyraźnie, jakby mnie poraził prąd, że dzieje się to tylko ten jeden raz…
Nie będzie następnego.
Ten raz był właśnie wtedy, w ten przedziwny, choć z pozoru zwyczajny, sierpniowy wieczór, kiedy w powietrzu unosiły się fantazyjne wonności i wokoło śpiewały nam nawiedzone świerszcze.
Jak w niezapomnianej piosence Deana Martina „Everybody loves somebody".
I ja zrozumiałem wówczas, że moje sometimes jest właśnie wtedy.
Nigdy tak nie czułem się wcześniej, nigdy nie czułem się później.
Już wiecie?

Zrazu przebywaliśmy w towarzystwie innych młodych ludzi, lecz wkrótce drogą zapewne intuicji lub telepatii szybko oboje doszliśmy do tego samego wniosku, iż nadeszła najwyższa pora, aby się oddalić.
Tak też uczyniliśmy.
Poszliśmy na nocny spacer do pobliskiego lasu.
Wiem, że to pamiętasz.
Takich rzeczy nie zapomina się nigdy.
Wtedy wydało nam się to rzeczą oczywistą i bezsporną – wszak poczuliśmy do siebie coś, co wnet sprawiło, że zapragnęliśmy intymności, ciszy, a może i czegoś więcej.
Była już noc – ciepła i pełna przedziwnego, mile wiercącego oczekiwania – taka właśnie była tamta noc, i chociaż później przeżyliśmy razem wiele namiętnych chwil wśród leśnych zakamarków, nad jeziorem, w domu i nawet pod mostem, który nieopodal łączył dwa brzegi pewnej małej rzeczki, nigdy nie było już tak jak wtedy, bo mają rację ci, co powiadają, że nie ma to jak pierwszy raz…
Ani dla mnie, ani dla ciebie, Moniko, równie doświadczonej erotycznie jak ja, nie był to pierwszy raz,

lecz poczuliśmy jakby nim był, i to właśnie zachowaliśmy w pamięci na zawsze.
Nie potrzebowałem cię o to pytać, ty nie czułaś potrzeby, aby pytać mnie.
Cisza dała odpowiedź i nie wyobrażałem sobie wtedy, aby mogło być inaczej.
To coś, co nie wymagało słów, bo słowa są czasem wyjątkowo zbędne i niemile widziane.
Tego byłem pewien i będę po kres mych dni, bowiem, jak już wcześniej rzekłem, coś podobnego dzieje się tylko raz w życiu – potem jest już inaczej, choć nie twierdzę, że gorzej – po prostu inaczej i tyle.

Pozostałaś…

Mijało lato, gorące, namiętne i pełne wzajemnej nieziemskiej, kosmicznej fascynacji.
Na świecie panował niepodzielnie sierpień naszej miłości.
Nuklearne wybuchy naszego szczęścia.
I szkoda, że wieczory stawały się coraz chłodniejsze…
Byłaś moja, Moniko, tylko moja, na wieki.
Większość dnia spędzaliśmy razem, nie mówiąc już o niezapomnianych nocach, kiedy stawaliśmy się parą szalonych kochanków, którzy łapczywie pożerali się wzajemnie z obawy o to, że przewrotny świt nadejdzie zbyt szybko i brzask okradnie nas podstępnie z naszej rozkosznej intymności, chowając ją do swego niewidzialnego, magicznego plecaka, gdzie leżały sny, marzenia i żar niedawnej namiętności wszystkich zakochanych tego świata.

I powoli zapominałem wszystkie te dziewczyny, które znałem dotąd.
Wydały mi się niedorzecznym snem, z którego się właśnie obudziłem.
Już ich nie potrzebowałem.
Powiedziałaś wtedy:
- Mike, przeszłość nie jest nami. Czasem my i Bóg nie stawiamy na tego samego konia.
Liczy się to, co jest i to, co będzie. Świat może być nasz, jeśli tego zapragniemy…
Miałaś rację.
Byłaś bardzo dojrzała jak na swój wiek.
Z dni minionych pamiętałem już tylko mych przyjaciół, rodziców, braci i siostry, mego wiernego druha Pedro, którego znałem od dzieciństwa, lecz przelotne miłostki rozpłynęły się bezpowrotnie we mgle mej obojętności.

Kochałem…

Lecz miałem też swoje obawy – jak każdy, komu los nagle pobłogosławił.
Bowiem nikt jeszcze nie przewidział, dokąd może człowieka doprowadzić miłość.
Czasem jest to królestwo niebieskie, czasem śmierdzące, grząskie bagno…
To są koszta tej zabawy na poważnie – śmiertelnie poważnie.
Bo nie igra się z miłością.
Nigdy…
Zawsze się przegrywa, choć początkowo może to wyglądać nieco inaczej.
Niekiedy zwycięzca jest przegranym, a przegrany zwycięzcą…
Najczęściej upadają obie strony.

Mieszkałaś u rodziny.
Kilka domów ode mnie.
Miałaś trzech braci ciotecznych, z których wszyscy bezrozumnie adorowali cię, jakbyś była dziewczyną

do wzięcia, a mnie ostentacyjnie traktowano jako zbędnego intruza, zakłócającego od dawna uświęcony spokój.
Pamiętasz?
Kiedyś stoczyłem z nimi walkę wręcz i nie dali mi rady – poturbowałem ich niemiłosiernie.
Od kilku lat uprawiałem boks i potrafiłem uderzyć tak, aby nie trzeba było powtarzać.
Jeszcze w liceum brałem udział w walkach bokserskich za pieniądze.
Spotykaliśmy się w parku dwa razy w tygodniu.
Chłopcy robili solidną zrzutkę na pulę dla zwycięzcy.
Mieliśmy prawdziwe rękawice.
Było intrygująco, było też poważnie.
Dasz wiarę – nigdy nie przegrałem żadnej walki.
Potem nikt nie chciał już ze mną walczyć.
Tak jak twoi kuzyni, którzy po pierwszym wycisku, jaki im zafundowałem, ograniczyli się już tylko do posyłania mi nienawistnych, pełnych zazdrości spojrzeń.

Patrz, pierniczku, z kim się kruszysz…

Jeszcze później, pewnego wieczora, kiedy byliśmy potańczyć, nasłali na mnie jakiegoś ogromnego, opóźnionego w rozwoju umysłowym osiłka, którego z wielkim trudem zdemolowałem.
Nie było kolejnych prób.
Doznali olśnienia.
Odpuścili.
My nie.
W tamte lato, Moniko, nikt nie mógł stanąć między nami – wyrwałbym go z korzeniami.
I nie stanął.
Byliśmy tylko my, w dzień, kiedy pływaliśmy w jeziorze i łowiliśmy ryby, i w nocy, kiedy łączyła nas gorąca, dzika namiętność, która nas spalała cudownym ogniem.
Bywało, że leśna ściółka była nam łóżkiem.
Bywało, że nasze ciała łączyły się w ciepłej toni nocnego jeziora…
Lub na twardych deskach mego pomostu…

Choć pewnego poranka grupka spoconych, młodocianych wioślarzy śpiewała zawzięcie stary przebój Roya Orbisona, mówiący brutalnie o tym, że miłość boli, kaleczy i rani, kto by im wówczas uwierzył w takie brednie, kto zakochany po uszy, jak ja, lub jak ty, Moniko.
Jeśli się kocha, oczy patrzą inaczej, uszy słyszą inaczej i ty jesteś kimś innym.
Ci chłopcy niewiele wiedzieli o rzeczy, którą wszyscy znamy jako miłość – temat piosenek? Temat wierszy dawnych mistrzów?
Myśl przewodnia myślicieli mniej lub bardziej oderwanych od rzeczywistości?
Kto wie, kto wie.
Wioślarze zawodzili o poranku o kłamstwie, które jest częścią składową uczucia.
Ich śpiew szedł po wodzie gromko fałszywym refrenem i wzbudził w nas jedynie zdrowy, niewymuszony śmiech.
Oni śpiewali wtedy o kimś innym, nie o nas, na pewno nie o nas.
Nie mieliśmy wtedy ochoty zastanawiać się nad genezą zła we wszechświecie.
My mieliśmy siebie i to, co przyniosła nam sierpniowa noc.
Wioślarze kłamali i szybko o nich zapomnieliśmy. Zapomnieliśmy, że kłamali, lecz czy naprawdę kłamali? Pytanie ciekawe! Czy wtedy mogłem znaleźć na nie odpowiedź?

Chyba nie, raczej nie…
Nie wtedy…
Nie w sierpniu naszej miłości.

On trwał dalej i nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar się skończyć.

Pamiętasz moją gitarę?
Tę samą, którą ojciec przywiózł mi z Australii?
I nasze pamiętne ogniska do białego rana, kiedy to niezapomniany Edi, mój kumpel, zawodowy komandos, śpiewał potężnym, zmysłowym barytonem kawałki jazzowe?
Jak na jednej ręce trzymał ciebie, na drugiej mnie?
Był kulturystą – bez trudu nosił nas naraz na rękach.
Znałem go od zawsze, nazywając go żartobliwie „szalonym mężczyzną".
Był wielki jak góra i silny jak byk.
Miał delikatność kobiety, i serce łagodne, kochające przyrodę i ludzi.
Już nas nigdy nie zniesie nad wodę, już nigdy nie zaśpiewa.
Pewnego czerwcowego dnia spotkał się z Jezusem, kiedy wracał w piekielną ulewę ze skoków spadochronowych.
Ten wypadek przeżyli wszyscy, oprócz niego…
Samochód wpadł w poślizg i zjechawszy na łąkę, uderzył w drzewo.
Bóg lubi grać w bierki.
My raczej nie lubimy Go jako gracza – jest zbyt nieprzewidywalny, zbyt nieokiełznany.
Lepiej niech pozostanie kochającym tatusiem.

Moja gitara była jak członek rodziny – chodziłem z nią na pomost, chodziłem do lasu, nawet miałem ją w kajaku, kiedy wiosłowałaś do wyspy, aby przeżyć ze mną miłosne uniesienia, a ja siedząc z tyłu śpiewałem ci „Blue Moon", i mój głos szedł gromkim echem po jeziorze.

Nasza wyspa…
Piękna zielenią ogromnych sosen.
Cudowna akordem kochania.
Pamiętasz?
Ile uczuć tam pozostawiliśmy, ile namiętności.
Ile śmiechu i beztroski.

Jedliśmy tam kiełbaski, opiekane nad ogniem, piliśmy wino i całowaliśmy się godzinami.
Czas stał w miejscu i podglądał na nas z zaciekawieniem, kiedy ciepły, letni wiatr pieścił nasze nagie, rozpalone ciała.
Dawałaś mi siebie codziennie, ja cieszyłem cię swoją miłosną daniną.
Ciał sploty, słów miliony.
Były…
Zaklęcia, co miały poruszyć ziemię i sprawić, że gwiazdy będą spadać co noc, spełniając nasze najskrytsze marzenia.
Każdego dnia czule przygarniana nuciłaś mi piosenkę o prostej, ludzkiej miłości.
O pocałunkach, które są niebem, o niebie, które jest tak naprawdę na ziemi.
Tu, gdzie kochamy.
W lesie, nad jeziorem, w małym pokoiku.

I wiedziałem już, że jeśli kiedyś mi ciebie zabraknie, umrę za życia.
Po prostu zniknę, otworzy się przede mną piekło i mnie wchłonie.
Chciałem żyć.
Bo byłem pewien, że w teatrze mego życia grana jest właśnie ta jedna, najważniejsza sztuka.

Pamiętasz, Moniko, jak uciekałaś kiedyś oknem, kiedy nad ranem obudziło nas głośne pukanie do drzwi?
To moja rodzina przyjechała w odwiedziny.
Znienacka.
Nie mogła zastać nas razem w łóżku – byliśmy przecież parę dziewiętnastolatków.
Stęskniony wujek Stan bębnił niezmordowanie w drzwi, podczas gdy ty czmychnęłaś bezszelestnie niczym zwinny kot i ukryłaś się za drzewami.
Było w tym coś bardzo romantycznego, choć to zawsze oblubieniec ratował się ucieczką przez okno lub schronieniem się w szafie albo pod łóżkiem.
Tak wypadło.
Potem, mając w domu gości, spotykałem się z tobą w lesie lub na pomoście.
Zazwyczaj po zmroku.
Nie chciałem im ciebie pokazywać.
Byłaś moją słodką tajemnicą.
Moim życiem.
Radością tamtego lata.
Miałem na głowie parę kuzynów, natrętnych, rozwydrzonych małolatów, dla których byłem od zawsze idolem, i którzy nie odstępowali mnie na krok przez cały, boży dzień, namawiając bez przerwy na pływanie łódką, łowienie ryb, czy wycieczki rowerowe po okolicy.
Byli jak wrzód na tyłku, ale musiałem to wszystko jakoś ze sobą pogodzić.
Wujek Stan lubił, jak go brałem na ryby i marudził mi niemiłosiernie godzinami o swej ciężkiej pracy nauczycielskiej w małym, podrzędnym liceum w mieście bez nazwy.
Szkoda mi go było, więc pływaliśmy razem na wodę.
Ciotka opalała się całymi dniami przed domem, pokazując nam swe idealne, seksowne ciało.
Mimo wieku wyglądała zabójczo.
Mogła mieć każdego młokosa, gdyby tylko zechciała.
Była jednak dobrą matką i żoną, żyjąc od lat u boku wujka Stana, którego wielki brzuch mógł śmiało uchodzić za temat pierwszorzędnych dowcipów, i który lubił się z nim namiętnie obnosić po okolicy, jak gdyby czas zatrzymał się dla niego dawno temu, a on sam wciąż wyglądał jak młody bóg rodem z greckich legend.

Moniko…

Jakże tęskniłem za tobą, kiedy dzień mijał mi na niczym.
Traciłem nasz czas, nasz bezcenny czas.
A pocałunki i sploty ciał?
Czemu nagle zabrakło dla nich miejsca?
Ludzie są tylko ludźmi, i dlatego dzielnie znosiłem nawiedzoną rodzinkę, aż do radosnej chwili, kiedy ciotka powiedziała, że nazajutrz wyjeżdżają, bo kończy im się urlop.
Co za ulga.
Jak rzekła, tak zrobili – po chwili byli już tylko wspomnieniem.
Znów miałem cię tylko dla siebie, znów mogłaś spać w moim łóżku.
W moim letnim domu nad jeziorem.

Moi rodzice byli wielkimi ludźmi – dawali mi maksimum swobody.
Byli szczerym złotem.
Ojciec zazwyczaj latem przebywał w Australii, mama u swojej mamy, na wsi.
Ja miałem wolność i ochoczo z niej korzystałem.
Kochałem i ceniłem jej smak.
Jako dziewiętnastolatek, który właśnie dostał się na anglistykę, miałem wszystkie asy w rękawie – zyskałem podziw ojca i mamy i absolutnie wolną rękę we wszystkim.

Potem przyjechał Pedro, mój wysoki, śniady przyjaciel, druh od serca, i przywiózł trzy paczki krewetek, pamiętasz?
Smażył je nam na patelni.
Pięknie na niej rosły i pięknie pachniały.
Zajadaliśmy się nimi pijąc szampana prosto z gwinta, każde z nas po butelce.
Lubiliśmy jego kuchnię i szampana.
Pedro był przednim kucharzem i kochał nam pitrasić.
Choć był rok młodszy od nas, sprawy kulinarne opanował do perfekcji, może dlatego, że po prostu bardzo to lubił i szczerze cieszył się, jeśli innym smakowało.
Czułem się przy nim amatorem – właściwie umiałem tylko smażyć ryby.
Miał już wtedy problemy ze sobą, ale umiejętnie umiał to przede mną ukrywać.
Obaj nie chcieliśmy pamiętać jego próby samobójczej i pobytu w szpitalu psychiatrycznym.
Płynął swobodnie z falą życia.
Z brudną falą…
Ciągle trefne dziewczyny, poronione znajomości.
Nie miał nosa do tych spraw – był bardzo kochliwy i bardzo naiwny.
To go co jakiś czas przerastało.
Czasem za bardzo.
Może był jednym z ostatnich romantyków?
Mógł mieć każdą, lecz szukając w rynsztoku, nie mógł, rzecz jasna, znaleźć tam perły.
Jego matka opowiadała mi o wszystkim, kiedy on uciekał z domu i prosząc mnie potajemnie o klucze do mojego letniego domu, mieszkał tu ze swymi miłościami, aby odnaleźć siebie i swoje miejsce w życiu. Był człowiekiem bez koncepcji, wiecznym wędrowcą. Pomagałem mu kryjąc go. Męska sztama. Nie wiem, czy było to dobre, ale na tamtą chwilę nie mogłem postąpić inaczej – był moim najlepszym przyjacielem i musiałem iść mu na rękę, cokolwiek by to nie znaczyło, i z czymkolwiek by się to nie wiązało.
Tak to widziałem.
Miałem własne pojęcie przyjaźni.
Czas pokazał, że złe.
Ale skąd mogłem o tym wtedy wiedzieć?
Pedro miał u mnie dożywocie na wszystko i korzystał z tego często.
Życie jednak po latach pokazało, że nasza przyjaźń jest jak skała, jak kościół wybudowany na niej – żadne złe moce go nie przemogą.
I nie przemogły.

Moniko…

Pamiętasz naszą szaloną noc spędzoną z wesołą gromadą ogorzałych od słońca Szwedów, z którymi grałem do białego rana w pokera?
Poznaliśmy ich w knajpie „Colorada”, w miasteczku, do którego wybraliśmy się rowerami.

Jedliśmy pizzę, a oni grali już od kliku godzin na ostre stawki.
- How are you? – spytałem przysiadając się do nich.
- Fine – odrzekli.
I wszedłem do gry.
Miałem trochę forsy przy sobie, więc postanowiłem pograć – zawsze lubiłem ryzyko.
Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma szczęście w kartach – tak mawiają ludzie, lecz ta noc pokazała, że to nieprawda – można mieć szczęście i tu, i tu.
Ograłem ich okrutnie.
Potem już tylko piliśmy piwo i siłowaliśmy się na rękę.
Tu też przegrywali.
Mieli jednak poczucie humoru i na koniec powiedzieli:
- Mike, okazałeś się po prostu lepszy tej nocy.
Potem byłem z tobą, na ściółce leśnej, namiętnie, gorąco i jakże ogniście.
Dawałaś mi siebie, jakby jutro miał się skończyć świat – niewybaczalnie szczerze, jak kobieta, która kocha ten jeden, jedyny raz.
Jakby miało nas już nie być.
Jakby…
Jednak byliśmy i obok płonęła nasza miłość.
- Jestem Lwem – powiedziałaś. – Jak lew potrafię walczyć o to, co moje.
- Ja jestem Bliźniakiem, i wszystko, co ci mogę dać, to moją zmienność – odparłem.
- Podoba mi się.
- Mi też.
- Zmieniaj się dla mnie codziennie.
- Będę, Moniko, będę na pewno.

Zmieniłaś mnie na zawsze – nieodwracalnie i trwale.
Nie byłem już człowiekiem o zmiennych humorach, o niestabilnych nastrojach.
Miałem wizję.
Ty nią byłaś.
Cieszyłem się z każdej chwili spędzonej z tobą.

Potem lato się skończyło – odeszło w niebyt i zapanowała jesień.
Był wrzesień, był też i październik.
I miliony przepięknych, kolorowych liści, tańczących na wietrze…
Byliśmy my – ja i ty, w mieście, w mieszkaniu twojej siostry.
Często, tak często jak to było możliwe – młodzi, namiętni, niemyślący o przyszłości.
Opuszczałem dla ciebie zajęcia na studiach, aby tylko być z tobą, aby móc dotknąć twojej opalonej skóry i poczuć raz jeszcze smak soczystych ust, choć przecież świat trwał nadal i sąd ostateczny był jeszcze jedynie mglistą perspektywą. Zdobywałem pieniądze, byśmy mieli na przyjemności. Zmartwienia nie istniały. Byłem we własnym niebie. Ty też, Moniko.
Pewnego dnia zastałem cię w łóżku…
Powiedziałaś:
- Jesteś twardzielem, Mike?
- Tak mi się zdaje, choć mogę się mylić – odparłem.
- Jesteśmy tacy młodzi.
- Wiem. I co z tego?
- Będziesz ojcem.

- Kim?
- Ojcem. W kwietniu urodzę. W połowie miesiąca. Chcę tego dziecka, ono jest naszą miłością.
Ile płakałem tego dnia, jeden Bóg raczy wiedzieć.
Potem spiłem się i zasnąłem na dywanie w domu siostry Moniki.
Kiedy obudziłem się pod wieczór, już rozumiałem.

„Stay with me, Diana" – śpiewał w radio Paul Anka.

Kończyła się moja beztroska młodość i byłem z tego powodu diabelnie szczęśliwy, ja, dziewiętnastoletni student anglistyki i przyszły ojciec. Ja, były rozrywkowy, rock'n'rollowy chłopak, obecnie zakochany po uszy młody mężczyzna. W końcu ja człowiek, do którego los uśmiechnął się jak do żadnego z moich rówieśników. Nie bałem się. Nie bałem się kwietnia. Nigdy nie byłem tchórzem – tłukłem się w parku z osiłkami dwa razy większymi od siebie i to oni dostawali baty. Nie znałem pojęcia lęku i nadal nie znam. Może jestem nienormalny?

Pamiętasz?

Chodziliśmy do moich rodziców na obiady.
Byli zachwyceni tym, co ich spotkało.
Byli cudowni w swoim zachwycie.
Zaakceptowali nas i nasze nienarodzone dziecko.
O nic nie pytali.
Pokochali cię.
Byliśmy spełnieniem ich snów.
Ojciec mówił:
- Moniko, to będzie dziewczynka, tak?
- Tak, tato.
- I będzie taka ładna jak ty?
- Może. Pewnie tak… - odpowiadałaś.
- Jestem najmłodszą babcią na świecie – mówiła moja mama. – i bardzo mi z tym dobrze!
- Ta mała będzie jeździć ze mną na koniu! – pokrzykiwał ojciec.
Wszyscy dotykali twój brzuch i uśmiechali się.
Cud narodzin był w drodze.
Nigdy nie wierzyłem w przypadek.
Istnieje tylko przeznaczenie.
To ono jest rzeźbiarzem naszych losów, trzymając w dłoni pewnie swe dłuto.
I w tamtym czasie dało kształt temu, co przyszło później.

Urodziłaś Caroline 15 kwietnia.
Tego dnia była świetna pogoda, świeciło słońce i ptaki śpiewały wesoło o tym, że naprawdę warto żyć, bo to najpiękniejsza ze znanych ludziom przygód na ziemi, i co najważniejsze, zdarza się tylko raz. Każdy ma swoje sometimes. I trzeba je wykorzystać do ostatniej sekundy, bo nic nie trwa wiecznie. To ważne, by o tym pamiętać i nie marnować życia.

Przez kolejne sześć lat byłem ojcem na dochodne.
Akurat byłem pochłonięty studiami i odnalezieniem samego siebie.
Mieszkałaś w mieszkaniu swojej siostry, która akurat wyszła bogato za mąż i chętnie ci je oddała.

Ja mieszkałem u rodziców i póki co nie chciałem się wyprowadzić.
Może pasowała mi sytuacja, kiedy miałem wszystko dane na tacy jak dotąd i jednocześnie kobietę i dziecko. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Może wciąż dojrzewałem? Pewnie tak.
Nie chciałem rezygnować z domowej przystani, ale coraz silniej czułem już w sobie to, co nazywa się powszechnie powołaniem do ojcostwa.
Przez te sześć lat zawsze byłem ci pomocny, ale nieco drażnił mnie płacz dziecka.
I te nocne pobudki.
Byłem zbyt wygodny na to.
Spędziłem z tobą zaledwie kilka nocy.
Chciałem wrócić, kiedy ta faza w życiu Caroline już przeminie.
Chodziliśmy na spacery z wózkiem, potem z naszą córką do parku, kiedy już nauczyła się chodzić i patrzyliśmy, jak rośnie i jak upodabnia się do ciebie. Była małą pięknością, małą kokietką.
Kupowałem jej zabawki i leżałem z nią godzinami na dywanie, bawiąc się.
Potem wracałem do rodziców.
Chciałem mieć jeszcze przez chwilę trochę czasu dla siebie.
Tobie to nie przeszkadzało, zawsze byłaś ze mną w dobrym i w złym.
Czułaś, że nigdy mnie nie stracisz.
Rozumiałaś, że do roli ojca trzeba dorosnąć, nie może być nim beztroski student, który lubi radośnie wyskoczyć w sobotni wieczór z kumplami na piwo, nie może być syn swych rodziców, który jest z nimi wciąż związany niewidzialną pępowiną. Nie musiałem ci nic mówić. Miałaś swoją mądrość. Widziałaś, co się we mnie dzieje. To nie była tajemnica. Coś się kończyło, coś się zaczynało.
I czasem wracałem do ciebie nad ranem, nie chcąc zasmucać rodziców widokiem pijanego syna. Tuliłaś mnie jak matka, i jak matka rozumiałaś, przez co akurat przechodzę.
Kiedy w końcu skończyłem studia, powiedziałem całemu światu, że się z tobą ożenię.

Już wcześniej zamieszkaliśmy razem w mieszkaniu twojej siostry.
Byliśmy bardzo szczęśliwi.
Caroline poszła do żłobka.
Nadszedł czas na ułożenie wszystkiego.
Dałem na zapowiedzi, wynająłem zespół muzyczny, z którym zamierzałem śpiewać na weselu do białego rana, miałem też mercedesa z 1926 roku, którego skombinowałem z Muzeum Motoryzacji, abyśmy mieli jak podjechać pod kościół.
Wszystko dopiąłem na ostatni guzik i… los mnie nie zawiódł!

Nasz ślub odbył się z niesamowitą pompą.
Przyszło ponad sto osób.
Jechaliśmy przez miasto pokracznym wehikułem o drewnianych kołach, pozdrawiani klaksonami setek samochodów mijających nas, a uśmiechnięci kierowcy, w środku swych ogrzanych kabin, rozumieli bez słów, że mamy dziś swój moment w czasie.

5 lutego nigdy nie zapomnimy, Moniko.

Był siarczysty mróz, a nam nie był wcale zimno.
Ja byłem w szarym garniturze, ty w zabójczej sukni.
Samochód wlókł się od twojego mieszkania do kościoła ponad godzinę.
Proboszcz powitał nas chmurnym spojrzeniem – myślał, że się rozmyśliliśmy.
Choć szczękałem zębami jak pomylony, przysięgłem ci miłość aż po grób bez jednego zająknięcia. Pa-

trzyłaś na mnie jak nigdy, i kiedy wcześniej nasza Caroline niosła twój welon, ja zrozumiałem, że jeśli mi kiedyś ciebie zabraknie, umrę w ciągu paru minut, byłaś od tamtego sierpnia moim życiem, moją namiętnością, moim przeznaczeniem.
Radością mych lędźwi.
Życiem, oddechem, powietrzem.
Wszystkim, co miałem.
Nie potrzebowałem niczego więcej.
Później mieliśmy fantastyczne wesele, na którym pięciokrotnie bisowałem z zespołem kawałek „Blue Moon", a sala falowała jak Morze Śródziemne i krzyczała, abym nie przestawał.

Wynająłem dla nas i dla gości pokoje w hotelu.
Nie dbałem o koszta.
Nie ja płaciłem – moi rodzice pokryli wszelkie opłaty.
Na szerokim łożu oddałaś mi się, jakbyśmy robili to po raz pierwszy w życiu.
Tego uczucia nie opiszą żadne słowa.
Jeśli mężczyzna przeżywa noc poślubną ze swą żoną, to drży ziemia i biją wszystkie dzwony tego świata, te małe, i te duże, i uśmiecha się niebo, gwiazdy i lubieżny księżyc, a potem klaszczą razem, by uczcić chwilę szczęścia, która była udziałem wszechświata.
- Mike, jak to możliwe? – spytałaś.
- Co?
- My.
- Mała, mogliśmy się nigdy nie poznać, nigdy nie spotkać. I pomyśleć, że są ludzie, którzy nie wierzą w przeznaczenie. To ostatnie matoły. Nie wiedzą, skąd im nogi wyrosły.
- Mike, czy my…
- Tak, kochanie. My przetrwamy wszelkie burze.
- To był piękny ślub.
- To był niezapomniany ślub – rzekłem i pocałowałem cię gorąco.

Lata, które nas związały, były niezwykłe, niezapomniane.
Nasza miłość nawet na moment nie ostygła – ten ogień wciąż płonął.
Caroline rosła i stawała się pięknością.
Ja znalazłem pracę w lokalnej gazecie i miałem wolną rękę w pisaniu ostrych artykułów.
Szef mnie kochał, ja jego, więc muzyka grała na całego.
Czasem do mnie mówił, w piątek po południu:
- Mike, dajesz radę?
- Pewnie, szefie.
- A jak w domu?
- Mam najlepszą rodzinę pod słońcem.
- To dobrze.
- Wiem.
- Możesz być w tej redakcji kimś, dopóki masz dobrą rodzinę.
- Czemu?
- Człowiek bez niej jest jak grzyb na ścianie. Żeruje na rzeczywistości, nie jest w pełni człowiekiem, udaje, gra, zżyma się na kogoś, kim nie jest, pajacuje. Tylko ludzie mający rodziny mogą pracować jak Bóg przykazał.
- Ma pan dziwne poglądy, szefie.
- Może.

- A gdybym był dziwkarzem i pisał dobrze, wyrzuciłby mnie pan, tylko dlatego, że nie mam żony i dziecka?
- Nie.
- Bo?
- Bo wierzyłbym, że jako człowiek przy zdrowych zmysłach znajdziesz sobie w końcu kogoś.

Moniko…

Kiedy patrzyłem na naszą małą, widziałem w niej ciebie z tamtego lata – lata naszej miłości.
Nasz sierpień wrócił w całej okazałości.
Stawała się piękną blondynką, o przepięknych, jasnych włosach, o oczach jak diamenty, o rękach i stopach, jak z najpiękniejszej bajki.
Była autentyczną boginią.
Jawiła mi się jak rzeźba greckim mistrzów – doskonała, pełna, harmonijna.
Byłem z niej dumny.
Choć sam jestem ciemnym blondynem, nie przypuszczałem, że moja córka będzie wyglądać jak Marylin Monroe z tlenionymi włosami.
- Więc czemu pijesz? – zapytałaś pewnego dnia.
- Bo jestem szczęśliwy.
- E.
- Tak.
- Brak ci czegoś?
- Nie.
- Więc po co?
- Zawsze piłem, mała, wiesz o tym.
- Piliśmy.
- No.
- Ale ty czasem przesadzasz.
- Zawsze wracam cało do domu i całuję wszystkich na dobranoc.

Jednak zacząłem przeginać.
Charles Bukowski powiedział, że zawsze pijesz, kiedy jest ci źle. Jeśli jesteś szczęśliwy, pijesz, aby to uczcić. Jeśli nic nie dzieje się w twoim życiu, pijesz, żeby coś się działo. Cała prawda. Kwintesencja picia. Pije każdy, mniej lub bardziej. Jeżeli ktoś mówi, że nie pije w ogóle, kłamie jak pies. Alkohol jest bogiem. Wiąże. Ale i rozdziela. Bardzo. Bez dwóch zdań.
Bo to zabawa dla ludzi bez rodzin – ci, którzy mają żony i dzieci powinni zachować fason.
Coraz częściej wracałem do domu po pijaku i wszczynałem awantury o cokolwiek – o źle umyte talerze, o szczoteczkę do zębów, o brudne buty, o brak uśmiechu na twojej twarzy.
Uderzało mi do łba.
Piłem po pracy z kumplami z redakcji.
Oni mieli paskudne żony – miały owłosione nogi i śmierdziało im z ust.
Ja po drodze zacząłem myśleć podobnymi kategoriami.
Wsadziłem cię do szuflady.
Szuflady o nazwie: „Żona do poprawki”.
Byłem skończonym głupkiem, ale prawda ta dotarła do mnie nieco później.
Kiedy, będąc na potężnej bani, krzyczałem pewnego wieczora na ciebie jak opętany, zobaczyłem strach w twoich pięknych, dobrych oczach.

Stawałem się coraz większym awanturnikiem.
Wszystko mnie drażniło – czemu, sam nie wiem.
Na rozmowach do białego rana, kiedy to tłumaczyłaś mi zgubne skutki picia, a ja obok pociągałem z butli w najlepsze, minęło nam kilka lat.
Kilka lat wzlotów i upadków, zazwyczaj moich, bo ty zawsze byłaś aniołem o żelaznej cierpliwości.
Byłem tym czarnym duchem.
Kolejne krzyki i wyrzuty, kolejne loty koszące.
Pewnego dnia, po dziewiętnastu latach razem złożyłaś pozew o rozwód, bez orzekania o winie.
Byłem w szoku.
Czyżbyś tak łatwo chciała się mnie pozbyć?
Może upadłem już tak nisko?
Nadal byłem twoim mężem, a Caroline miała już tyle lat, że mając metr siedemdziesiąt wzrostu, mogła przy swojej urodzie zostać modelką, gdziekolwiek zapędziłby ją los.
Ja, jej ojciec, miałem sprawę rozwodową za pasem i poczucie winy.
Tylko tyle i aż tyle.
Doigrałem się.
Zasłużyłem na to.
Poszedłem i nie zamierzałem się bronić.

Moniko…

Kiedy cię zobaczyłem w poczekalni przed salą sądową poczułem, że to nie koniec.
Nie wyjaśnię tego – nie umiem.
Intuicja?
Miałaś wspaniałe nogi, które wystawały spod tej krótkiej spódnicy, o których wciąż myślałem, wciąż miałem je pod opuszkami palców.
Te uda…
Miękkie i aksamitne.
Gorące.
Moje.
Pachnące tamtym sierpniem.
Miałaś płaczliwe spojrzenie – nie tak wygląda kobieta pragnąca rozwodu.
Jakże cię wtedy kochałem!
To wciąż trwało.
Potem zeznawaliśmy, ale słowa były tylko papką.
Kątem oka spoglądałem na ciebie – płakałaś.
Każde z nas opuściło salę w różnym czasie.
Udawałem gościa do końca, choć serce wyło za tobą, jak pies bez kości.
Tego wieczora zapiłem się na amen.
Jakby wszystko, w co wierzyłem, okazało się jedynie nędznym urojeniem, zwykłym snem, który rozpłynął się w niebycie o poranku.
W kwietniu pojechałem na ryby, aby złapać nieco powietrza i trochę odsapnąć.
Było mi bardzo ciężko – żadne słowa nie oddadzą tego, co wtedy czułem.
Jeśli istnieje pojęcie idealnego piekła na ziemi, to tkwiłem w nim po uszy.
Długie godziny przesiadywałem na naszym pomoście patrząc bezrozumnie na spławik.
Gdzieś, w jeziorowej toni widziałem twoją uśmiechniętą twarz, i oczy połyskujące jak dwa diamenty, dające mi znać, że nic w życiu nie dzieje się dwa razy, że warto postawić wszystko na jedną kartę – twardo i

zdecydowanie.
Chciałem się do ciebie odezwać, ale mnie uprzedziłaś.
Po powrocie z wędkowania znalazłem w skrzynce twój list…

Twój piękny list, Moniko…

Czytałem go wiele razy, nie wierząc własnym oczom.
Płakałem.
Przed chwilą był nasz rozwód…
Ty jednak nie byłaś kobietą zwyczajną – byłaś ogniem, co pali wszystko dookoła i jeśli już to nastąpi, nic nigdy nie będzie już takie, jak dotąd.
Jak ja wtedy…
Jak ja po lekturze twych słów.
Raptem dwa miesiące bez siebie, a napisałaś!
Mówiłaś:
- Mike, to nie koniec, dajmy sobie szansę, dajmy szansę naszemu życiu. Ten rozwód to nieporozumienie, nie patrz na to poważnie, ja też mam chwile słabości. Piłeś. Piłeś dużo, robiłeś awantury. Bałam się ciebie, jestem tylko kobietą. Jestem aż kobietą. Pij, ale rób to z klasą. Kocham cię. Zawsze byłeś tylko ty. Bądź delikatny. Czuły, jak wtedy, na początku. Mała cię kocha. Nie zawiedź jej. Ona potrzebuje ojca i przyjaciela. Kogoś, kto potrafi dać sobie radę z życiem. Pamiętasz nas? To nie może iść w niepamięć. To jest coś warte. Mamy dziecko, mamy siebie, mamy miłość. Ten rozwód to był mój rzut na taśmę. Jeśli już musisz pić, rób to z umiarem, nie krzywdź tym nas, nie krzywdź siebie…

To już dwadzieścia lat razem, nawet więcej.
Ja i Monika.
Nasz „rozwód” trwał tylko dwa miesiące.
To było głupie nieporozumienie.
Jest piękna, jak w chwili, kiedy ją poznałem.
Wierzcie mi, jest tak samo urocza, ma ten sam przepiękny uśmiech, którym mnie powitała pierwszego dnia naszej niezwykłej znajomości.
Moja córka ma już dwadzieścia lat.
Kiedy na nią patrzę, nie wierzę własnym oczom.
Wiem, że Bóg istnieje.
On jest tam, gdzie dwoje ludzi się szczerze kocha.
Był obok.
Był i jest nadal.
Lato z Moniką stało się moim życiem.
Cudem.
Sierpniem miłości.
Wracamy do mego letniego domu, by poczuć to samo.
Tak często, jak to możliwe.
Pijemy szampana, łowimy ryby, śpiewamy „Blue Moon” i pływamy nago w jeziorze.
Czasem wpada Pedro i robi nam krewetki.
Ma metr dziewięćdziesiąt i blond włosy.
Nuci nam Elvisa.
Wtedy wiem, że czas naprawdę można cofnąć.
Można poczuć go między palcami.

Mając czterdzieści lat wciąż czujemy w sobie młodość.
Monika i ja.
I wiemy, że jeśli kocha się naprawdę, to kocha się przez resztę życia.
Tak to jest.
Pedro też tak ma.
Więc pewnie ma tak cała reszta…

17 lipca 2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 14.10.2012 19:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.